

# Zawsze byłem zakręcony

KRZYSZTOF KUBICKI, geodeta od 30 lat mieszkający w Australii, mówi o swej przygodzie z zawodem



**KATARZYNA PAKUŁA-KWIECIŃSKA:** Pięknie pan mieszka. Widok na Perth z tarasu na 19. piętrze apartamentowca zapiera dech w piersiach, a basen przed wejściem do budynku jest odlotowy.

**KRZYSZTOF KUBICKI:** Poza mną mało kto z tego basenu korzysta (*śmiech*).

**Czy to ze względu na ten widok zdecydowaliście się państwo na apartament w centrum Perth? To wyjątek, bo prawie wszyscy mieszkają tutaj w jednorodzinnych domach.**

My także mieliśmy wcześniej różne domy, ale dom oznacza obowiązki. Gdy przyjeżdżałem zmęczony z kontraktu na północy kraju, brałem się do roboty w ogrodzie. W końcu miałem tego dosyć i podjęliśmy decyzję o zakupie apartamentu. Wprowadziliśmy się tutaj w maju 2010 r.

**Czym zajmuje się pan zawodowo?**

Jestem koordynatorem prac geodezyjno-budowlanych, obecnie na największym projekcie realizowanym w Australii – Fiona Stanley Hospital, który



Krzysztof Kubicki na swoim tarasie z widokiem na Perth. Na stronie obok najwyższe budynki w mieście – Kubicki koordynował prace geodezyjne na kilku z nich

znajduje się 25 kilometrów stąd. Proszę popatrzeć, z tarasu widać żurawie [rzeczywiście przez lunetę można je dojrzeć – przyp. KPK]. Ten projekt wart jest prawie 2 mld dolarów. Tam już jest jeden szpital, a obecnie budujemy drugi,

większy. A widzi pani te trzy najwyższe budynki w Perth? Ten z kratownicą na dachu to City Square (prawie 250 m wysokości), w którego wznoszeniu również mam swój udział. Oczywiście teraz, gdy cała konstrukcja jest gotowa i prowa-

dzony są prace wykończeniowe, przejął go już inny geodeta. Inwestorem jest BHP Billiton – jedna z największych firm górnicstwa odkrywkowego z siedzibą w Melbourne.

**Na tej budowie również zajmował się pan koordynacją prac geodezyjno-budowlanych?**

Tak, podobnie jak na wielu innych inwestycjach, byłem tam od momentu założenia osnowy, później cały czas nadzorowałem wznoszenie budynku. Z kolei w sąsiednim Century City, który ma tylko 22 piętra, szyby windowe stanowią trzpień konstrukcji. Cały czas budowa sztybów musiała o 5-6 pięter wyprzedzać wznoszenie pozostałej części. Osnowę geodezyjną umieściliśmy na okolicznych budynkach i mierzyliśmy zmotoryzowanymi tachimetrami. Problem polegał na tym, że do szybu był przymocowany dźwig, który podczas wiatru powodował przemieszczenie konstrukcji budynku, a wiatry tu mamy solidne. Dlatego czasami czekaliśmy z pomiarami, aż budowlancy będą mieli przerwę w pracy i puszczą dźwig „na luz”, żeby ustawił się z wiatrem i zminimalizował opór powietrza. Na całej wysokości zamknęliśmy się w 17-milimetrowej odchyłce w stosunku do założeń projektu. Okazało się też, że budynek osiadł 60 mm.

**Podobno geodeci do niedawna stosowali w Australii łańcuchy. Co to takiego?**

Łańcucha używało się zamiast taśmy mierniczej. Właściwie to jest drut o prze-

kroju 3 na 1 mm z podziałką co 2 m zakończony taśmą do odczytania resztkówki. Takie druty służyły nam np. do wyznaczania kolejnych poziomów wysokich budynków, gdzie najistotniejsza jest wysokość względna. Zawsze szukam najprostszego rozwiązania, choć wielokrotnie spotykałem młodych geodetów, którzy próbowali stosować różne skomplikowane technologie, czasami zupełnie niepotrzebnie.

**Ilu geodetów pracuje przy obsłudze takiego 20-piętrowego budynku?**

Nie więcej niż trzech.

**To geodeci nie pożywią się na takiej budowie.**

Raczej nie, ale przy szpitalu Fiona Stanley, gdzie koordynuję prace między głównym wykonawcą Brookfield Multiplex a trzema spółkami geodezyjnymi, pracuje w sumie około 20 geodetów. Pilnuję, by wszystko było zgodne z projektem, bo po wylaniu betonu już jest na to za późno. Choć muszę przyznać, że tutaj, w mieście, geodeci się tym zbyt nie przejmują. Dookoła są fabryki i jeśli trzeba zmienić jakiś element projektu, to nie ma z tym większego problemu. Znacznie gorzej jest na północy kraju, na przykład 2 tys. km stąd, w Port Hedland, bo prefabrykaty są przygotowywane tutaj i gotowe jadą przez pół Australii. Jeśli na miejscu okaże się, że coś nie pasuje, to robi się rzeczywiście problem. Dlatego zwraca się tam większą uwagę na niezależne kontrole i czasami geodeci jeden za drugim mierzą to samo wiele razy.

**Wyjechał pan z Polski w latach 80.?**

Dokładnie 30 listopada 1980 r. Miałem w Polsce fajną pracę, ale za... 7 dolarów miesięcznie. Technikum geodezyjne skończyłem w 1975 r., odbyłem służbę wojskową, a potem przez 5 lat pracowałem m.in. w Biurze Projektów Wodnych Melioracji. Dostawaliśmy fotomapy w skali 1:1000 i teodolitami Zeissa mierzyliśmy rzędne terenu (1 tys. ha na miesiąc). Starzy geodeci używali do tego niwelatorów. Brali odczyty z trzech nitki, wyznaczali odległość i kąt z dokładnością do stopnia. Pracowałem też w Wojewódzkim Biurze Geodezji i Urzędzeń Rolnych w Łodzi przy ul. Solnej 14. Byłem nawet kierownikiem robót na północną część województwa łódzkiego, sieradzkie i część kieleckiego. Sensację wzbudził wtedy kolega, który przyjechał z NRF i przywiózł ze sobą kalkulator, bo my liczyliśmy jeszcze za pomocą tablic. W Pe-weksie kalkulator TI kosztował 120 dolarów. A teraz 10 tys. punktów można przeliczyć w ułamku sekundy i przestać internetem do Polski!

**Miał pan 25 lat, pojechał na koniec świata i od razu odnalazł się w geodezji australijskiej?**

Ależ skąd! Po angielsku ani be, ani me, w szkole uczyłem się tylko niemieckiego. Najpierw w Melbourne pracowałem jako robotnik dla Olex Cables, producenta kabli dla przemysłu. Jak widziałem geodetę na ulicy, to aż mnie nosiło, ale bez znajomości języka mogłem sobie o geodezji tylko pomarzyć. Wreszcie jeden z me-





Apartamentowiec, w którym mieszka Krzysztof Kubicki. Przed wejściem basen-akwarium

nedżerów, zadowolony z mojej pracy, zapytał mnie, kim jestem z zawodu. Jak się dowiedział, że geodetą, to zaproponował, żebym skończył kurs językowy i pracował u nich jako geodeta. Ale zajęcia odbywały się w dzień, a ja pracowałem na dwie zmiany (od 6 do 18 albo od 18 do 6 rano) albo miałem wolne. Postępy w nauce były niewielkie, bo dużo zajęć opuszczałem. Ale z kursu dla emigrantów był pewien pożytek, bo spotkałem tam Romana Klisa, absolwenta geodezji na AGH w Krakowie. Od niego dowiedziałem się, że poszukują geodetów do pracy w Nowej Gwinei. Zgłosiłem się i trzy miesiące później siedziałem już w samolocie.

### I poradził pan sobie w pracy bez angielskiego?

Po roku lepiej mówiłem po papuasku niż po angielsku. W mojej drużynie było 40 miejscowych chłopaków do pomocy (pomiarowi, kucharze itp.) i oni uczyli mnie angielskiego. A ja byłem hersztem całej tej zbieraniny (*śmiech*). Budowaliś-

my drogę przez dżunglę z Kiunga do Tabubil, gdzie odkryto złoża złota i miedzi. Miejsca te dzielił dystans blisko 100 km, z tym że na ostatnich 30 km wysokość terenu rosła z 600 do 2400 metrów n.p.m. Do tego wszędzie błoto, koleiny, krokodyle i węże. Dwa razy przechodziłem w tym czasie malarię. Ale zarabiałem 20 dolarów na godzinę – a to był rok 1981 – i czułem się jak król!

### Na czym polegała praca?

Wykonywaliśmy pomiar w pasie o szerokości 1 km, do tego dostawałem dane od geologów i na tej podstawie projektowałem i wytyczałem drogę. Założenie było takie, że spadek nie mógł przekraczać 12%. Czasami trzeba było zwiększyć kilometraż, by ciężarówki i maszyny miały szansę wjechać pod górę.

### Po roku projekt się skończył...

...i zacząłem szukać pracy w Melbourne. Kłopot polegał na tym, że dla Australijczyków miałem za wysokie kwalifikacje na pomiarowego, a za niskie na geodetę. Żeby jakoś wyjść z impasu, zacząłem mówić, że jestem pomiarowym, ale mam doświadczenie w geodezji, tylko nie mam żadnych papierów. I wtedy zatrudniono mnie przy obsłudze mostu na autostradzie West Gate Freeway w Melbourne, na której było chyba z 60 geodetów. Francuski wykonawca Citra zaproponował budowanie mostu systemem *match casting*, to znaczy, że od razu w fabryce produkowano idealnie dopasowane segmenty konstrukcji. Należało w związku z tym zachować bardzo wysokie dokładności montażu. Czasami nawet niwelator precyzyjny Wild N3 i łaty inwarowe okazywały się za mało dokładne. Wysłałem więc do Szwajcarii do firmy Wild po sprzęt geodezyjny, gdzie złożyłem zamówienie za 3 mln dolarów. Oczywiście w pierwszej chwili kierownictwo chciało mnie za to zwolnić, ale jak przyszło co do czego, to okazało się, że wszystko jest niezbędne. Na przykład wyszukałem w ofer-

cie Wilda moduł montowany między spodarką a teodolitem służący do ustawiania instrumentu nad punktem z dokładnością do 0,01 mm. To oczywiście musiało kosztować majątek.

### Dalej poszło już chyba gładko?

Później pracowałem w Australii Południowej w Olympic Dam w kopalni uranu i w elektrowni. Wreszcie trafiłem do Perth, gdzie próbowałem się dostać na obsługę budowy linii kolejowej z Perth do Joondalup, ale nic z tego nie wyszło, za to zatrudniono mnie w Wagerup, 120 km na południe od Perth, w kopalni boksytu. Przepracowałem rok, a potem wyjechałem do Kalimantanu na Borneo. Kolega, którego znałem jeszcze z Nowej Gwinei, otworzył tam firmę budowlaną i nie mógł poradzić sobie z geodezją.

Aż wreszcie zadzwonił znajomy z Perth, że ma dla mnie robotę na dwa tygodnie w Omanie. Podobno ktoś popełnił błąd przy budowie falochronu, że przeliczył wysokości między układami, wyszło 2 metry różnicy, co oznaczało, że potrzeba dodatkowo pół miliona metrów sześciennych granitu, żeby można było posadzić spód falochronu.

### Co oznaczało miliony dolarów dodatkowych kosztów?

Tak, pojechałem tam i wyprowadziłem falochron na prostą. Ale w tym czasie dostałem ofertę pracy od firmy Fugro Middle East z Dubaju (siostrzanej spółki Fugro z Holandii), która zdobyła kontrakt na roboty geodezyjne. Pierwsze zlecenie dotyczyło pomiaru terenu o powierzchni 50 km kwadratowych wraz z opracowaniem DTM dna morskiego. Pomyślałem, że wypożyczę odbiornik GPS za 10 tys. dolarów, samochód i raz dwa załatwię sprawę. To był 1993 rok i technologia satelitarna nie była jeszcze tak popularna. Pamiętam też, że dali mi komórkę, która ważyła tyle, co dwie cegły, i do tego dwie ciężkie baterie w samochodzie. Zlecenie wyceniłem na 5 mln dolarów. Nie



Krzysztof Kubicki ze współpracownikami, ZEA 1993-97



Geodeci z firmy Geocon, Goldfields w Zachodniej Australii, 1998 r.

bardzo mi ono pasowało ze względów rodzinnych, długo trwały negocjacje, ale w końcu zdecydowaliśmy się z żoną na wyjazd, i tak zostałem głównym geodetą na Bliski Wschód z wyjątkiem Arabii Saudyjskiej. Obsługiwałem m.in. budowę słynnego luksusowego hotelu Burj Al Arab w Dubaju, a także węzła komunikacyjnego wokół niego. Wtedy już rzadko pracowałem w terenie, zatrudniałem ludzi, a sam zajmowałem się głównie koordynacją.

## Trochę wam się ten pobyt na półwyspie Arabskim przedłużył.

Dopiero w 1997 roku wróciliśmy do Australii. Otworzyłem własną firmę geodezyjną Geocon operującą początkowo na północy kraju, głównie na terenach kopalni. Zatrudniałem blisko 20 osób, ale nie było łatwo, bo pracownicy mieli dość luźny stosunek do obowiązków, pracowali z zegarkiem w rękę. Natomiast dla mnie czas w pracy nie ma żadnego znaczenia, dopóki robota nie zostanie zrobiona. Niejako po drodze pracowałem też na indonezyjskiej wyspie Sumbawa w jednej z największych na świecie kopalni złota. Niestety, moja firma już nie istnieje, wpadliśmy w kłopoty finansowe spowodowane nieuczciwością księgowego i musieliśmy zwinąć działalność.

## A zdarzyła się panu kiedyś taka pomyłka jak temu geodecie od falochronu?

Nie w takiej drastycznej formie. Jeśli realizowaliśmy projekt za 50 mln dolarów i trzeba było zburzyć źle wytyczony fundament za 5 tys., nie był to wielki problem finansowy. Najważniejsze w geodezji są procedury. Cały czas trzeba ich przestrzegać, a mimo to coś może się przydarzyć. Kiedyś w buszu przesunęliśmy projektowaną drogę o pół kilometra, wycięto już pod nią las, ale ostatecznie udało się wszystko naprawić. I choć nie poniosłem w związku z tym żadnych kosztów, to wstyd pozostał. Człowiek jest na siebie zły, że naknocił.

## Nie korciło pana nigdy, żeby uzupełnić formalne wykształcenie geodezyjne?

W latach 1984-87 studiowałem w Royal Melbourne Institute of Technology, ale pod koniec nauki pojawiły się problemy rodzinne, musiałem na trzy miesiące wyjechać do Polski i po powrocie było mi już za ciężko zajmować się nauką i pracować jednocześnie. Czyli studia właściwie zaliczyłem, ale dyplomu nie uzyskałem, w związku z czym nie mam licencji i na przykład nie mogę podpisać się pod podziałem działki, choć mogę go wykonać. W Australii licencja objęte są tylko pomiary katastralne.

## A jak geodeci tutaj zarabiają?

Młodzi około 60-80 tys. dolarów rocznie, na północy trochę lepiej, bo do



Krzysztof Kubicki na budowie Fiona Stanley Hospital, Perth, marzec 2012 r.

100 tys., a ja grubo ponad dwa razy tyle. Ale to drobiazg w porównaniu z tym, że na Półwyspie Arabskim zdarzyło mi się kiedyś w dwa tygodnie zarobić 157 tys. dolarów. Właściwie, jak się tak zastanowić, to wiele nie robię. Myślę tylko, jak najprościej wykonać zlecenie. Na przykład wymyślam w jeden wieczór rozwiązanie, które daje 50 tys. dolarów oszczędności.

## Czyli cały czas rusza pan głową.

Fascynuje mnie matematyka, geodezja, wszystko, co nowe, elektronika, projektowanie, pomagam kolegom z innych branż. Ja zawsze byłem zakręcony. Jak postanowiłem wyjechać do Australii, to znajomi mnie zatrzymywali i mówili, że przecież nie znam języka, ale nie dałem się przekonać. Pojechałem za dziewczyną, która została moją pierwszą żoną.

## Czyli to nie była ucieczka z przyczyn ekonomicznych lub politycznych?

A gdzie tam! Moja mama była śpiewaczką operową w Łodzi, a ojciec pierwszym sekretarzem organizacji partyjnej. Nieźle nam się żyło jak na polskie warunki.

## Przyjeżdża pan czasami do Polski?

Co 2-3 lata i zawsze wybieram klasę biznesową, bo podróż jest bardzo męcząca. Pierwszy raz odwiedziłem Polskę siedem lat po wyjeździe. Spotkałem wtedy kolegów, którzy wpadli w taki kierat, że robili tylko melioracje przez ten cały czas i pewnie potem przez resztę życia. Tutaj mam z kolei kolegę Hiszpana, który jest teraz moim dyrektorem, i pracuje w tej samej firmie od 25 lat. Mnie za to ciągle gdzieś nosi. Gdziekolwiek coś się buduje,

ja tam jestem. Teraz osiągnąłem taki wiek, że mam już ogromne doświadczenie, z którego mogę wybrać tylko esencję.

## W Australii ludzie żyją chyba bardziej na luzie, nie gonią tak jak w Polsce.

Mamy tutaj więcej wolnego niż pracy (śmiech). Ja swojego życia nie żałuję, cały czas towarzyszyła mi przygoda. Gdyby drugi raz trzeba było wybierać, zrobiłbym to samo. Kocham swoją pracę. Z serca jestem Polakiem i geodetą.

## Budowa szpitala Fiona Stanley już się kończy. Jakie będzie następne zadanie?

Teraz jestem głównym geodetą w CASC Constructions. Kolejny budynek zaplanowany w centrum Perth ma mieć 35 pięter i kosztować 350 mln dolarów. Przymierzamy się do niego i jak dobrze pójdzie, wykroimy z tego dla nas jakieś 30 milionów.

## Chodzi pan pogrzać w golfa na pole, które widać z tarasu?

Czasami chodzę, a czasami koledzy dzwonią z dołu: Krzysiu, jesteśmy na „piątce”! A ja patrzę przez lunetę i komentuję z góry ich grę.

Ale moją prawdziwą pasją jest architektura. Zaprojektowałem dla Perth stadion na wyspie Heirisson na środku rzeki Swan, gdzie w święto narodowe Australii puszczane są fajerwerki. Nazwałem ten projekt Pendulum Park, ale szanse na realizację są mizerne, bo minister sportu jest człowiekiem starej daty. Ten stadion miałby się otwierać jak kwiat lotosu. Trzeba na to jakieś dwa miliardy dolarów (śmiech).

Rozmawiała Katarzyna Pakuła-Kwiecińska